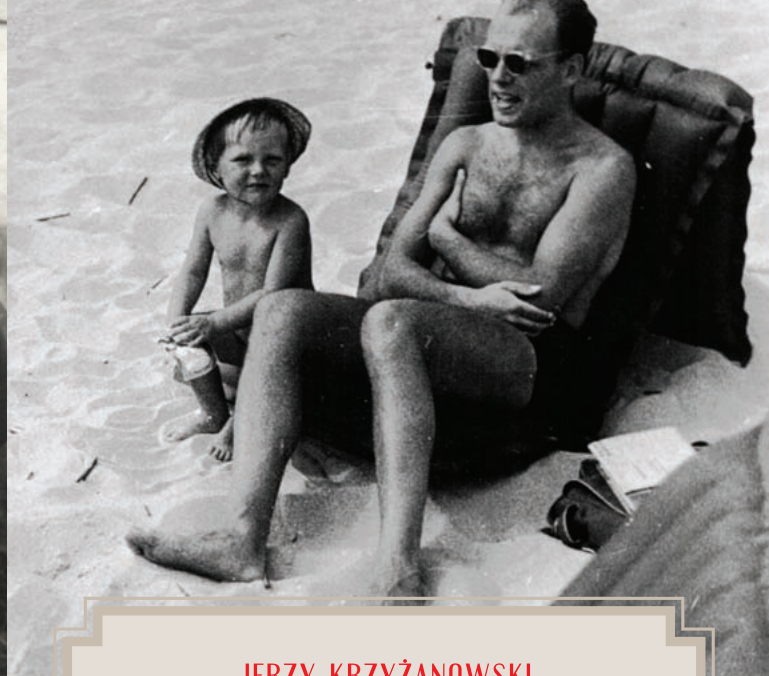


JERZY KRZYŻANOWSKI
MAGDA KRZYŻANOWSKA-MIERZEWSKA

WEDŁUG OJCA, WEDŁUG CÓRKI

historia rodu



JERZY KRZYŻANOWSKI

(ur. 1927 we Lwowie) – absolwent Politechniki Gdańskiej, profesor, w latach 1977–1998 kierował Instytutem Maszyn Przepływowych PAN. Autor wielu publikacji specjalistycznych, wypracował skuteczne formy współpracy nauki z przemysłem turbinowym i energetyką. Aktywnie uczestniczy w działalności organizacji naukowych, zawodowych, komitetów krajowych i zagranicznych. Radny miasta Gdańska (1991–1998).

MAGDA KRZYŻANOWSKA-MIERZEWSKA

radca prawny, prawnik w Kancelarii Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Autorka licznych tekstów prawniczych publikowanych w pismach polskich i zagranicznych, a także artykułów prasowych, drukowanych m.in. w „Zadrze”.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

WEDŁUG OJCA, WEDŁUG CÓRKI



ANITA HALINA JANOWSKA

Krzyżówka

PHILIP MARSDEN

Dom na Kresach

ANDA ROTTENBERG

Proszę bardzo

MAGDALENA SAMOZWANIEC

Z pamiętnika niemłodej już mężatki

MICHAEL SKAKUN

Scenariusz ocalenia

ANDREW TARNOWSKI

Ostatni mazur

JERZY KRZYŻANOWSKI
MAGDA KRZYŻANOWSKA-MIERZEWSKA

WEDŁUG OJCA, WEDŁUG CÓRKI

historia rodu

Książkę wydano przy wsparciu finansowym
Miasta Gdańska.



Książkę wydano przy wsparciu finansowym
Prezydenta Miasta Gdyni.



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

Pamięci naszych bliskich

Jerzy Krzyżanowski

Żadna siła, żadna burza...

PROLOG

Książka ta opisuje stopniowy proces opuszczania Lwowa i Kresów Wschodnich przez jedną z polskich rodzin w pierwszym pięćdziesięcioleciu XX wieku.

W odniesieniu do moich rodziców i dziadków mojej córki Magdy wynikał on z fascynacji budową Gdyni w latach dwudziestych i ze wspaniałego gdyńskiego, przedwojennego dziesięciolecia. Natomiast w odniesieniu do pozostałych we Lwowie krewnych – w konsekwencji obrad Wielkiej Trójki w Teheranie (1943) o powojennych granicach Polski i w wyniku dyskusji prowadzonej w Jałcie (1945) o formie zarządzania Polską po wojnie, przypieczętowanych ostatecznie w Poczdamie (1945) – część z nich w powojennej Polsce za swoją siedzibę obrała również Gdynię.

W książce zebraliśmy wspomnienia nasze oraz tych członków rodziny, którzy jeszcze mogli i chcieli poświęcić nam czas na nagrania ich wspomnień i refleksji. Im wszystkim oboje z Magdą serdecznie dziękujemy w innym miejscu książki.

Szkieletem tego opisu jest także korespondencja rodziców, zachowana w niejasnym trybie archiwalnym, korespondencja z ojca internowania, lwowska korespondencja dziadka Kruga i cioci Stasi Wimmerowej z mamą w latach 1940–1944.

Łącznie jest to obszerny zbiór ponad siedemdziesięciu listów. To mama musiała go starannie gromadzić przed 1939 rokiem i przed Powstaniem Warszawskim, a Zofia Orleńska zapewne zadbała o to,

by ukryć jego wojenną część w piwnicy domu przy Królewskiej 29 w czasie trwania Powstania.

Nie ma już kogo zapytać, jak było naprawdę.

Książka opisuje także nasz powrót do Gdyni w 1945 roku i co tu zastaliśmy.

Cytaty z prasy, wywiadów czy korespondencji podaję w oryginalnym brzmieniu, by oddać ich koloryt indywidualny i regionalny z tamtych lat.

Dziesiątego Lutego Trzydzieści

Mieszkanie dziadków Krzyżanowskich w Gdyni było duże i jasne; wielkie okna wychodziły na wiadukt kolejowy. Z długiego korytarza na lewo prowadziły drzwi do gabinetu dziadka Jurka – mówiło się „ordynacja”, egzotyczne słowo dźwięczące lekarską tajemnicą – a na prawo do jadalni, do sypialni dziadków, do salonu.

Kamienica należała do dziadków w czterdziestu procentach. Nazywaliśmy ją „Dziesiątego Lutego Trzydzieści”: babcia Jadzia cierpliwie uczyła małego Grzesia, swojego młodszego wnuka i mojego kuzyna, gdzie mieszka. Dziesiątego lutego, data zaślubin Polski z morzem w 1920 roku. Generał Haller rzucił pierścień w fale niedaleko Pucka, i morze już było nasze, polskie. Tylko własnego portu nie mieliśmy, oprócz małego, rybackiego, w Pucku, wiecznie zamulonego nanoszonym przez przybrzeżny prąd piaskiem. Potem nastał czas wojny celnej z Niemcami, a po niej – budowa Gdyni.

Miasto wzniesione na piasku, między wzgórzami a morzem, w pobliżu Gdańska. Gniazdo rodzinne mojego ojca, Jerzego Krzyżanowskiego juniora. I po części także i moje. Bo ja jestem z Trójmiasta.

Kiedy w 1929 roku dziadkowie Krzyżanowscy przyjechali do Gdyni ze Lwowa, najpierw wynajęli mieszkanie u Bednarskiego na Świętojańskiej, a potem u Skwiercza na 10 Lutego. Morze było ledwie pięćset metrów dalej, tuż-tuż. Ulica 10 Lutego nie miała jeszcze bitej nawierzchni i zmierzała ku morzu przez rozgrzebany teren budowy późniejszego skweru Kościuszki.

Dziadkowie. Moi dziadkowie ze strony taty. Doktor Jerzy Krzyżanowski senior i Jadwiga Maria z Krugów. On urodzony w 1898 w Pod-

hajcach, ona w 1904 we Lwowie. Lwowianie i gdynianie. Pochowani na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni.

Co nie zostało opowiedziane i utrwalone, tego nie ma. Kto nie zostawił po sobie śladu na piśmie, o tym wiemy tyle, ile pozwoli nam zachować kapryśna pamięć. Ona zaś zajęta jest bieżącymi sprawami; przechowuje też naszą historię – to, co wydaje się nam, że pamiętamy, a czego nie potrafimy opowiedzieć, z biegiem lat pamiętamy coraz mniej. Pamięć mojego pokolenia, nazywanego wdzięcznie pokoleniem powojennego wyżu demograficznego, kształtowała się w czasach powolnych zmian, hamowanych przez rytm życia w komunistycznym kraju, w którym wszystko, żeby się mogło zdarzyć, musiało uzyskać na to pozwolenie. Książki drukowano latami, w gazetach nie podawano wiadomości z ostatniej chwili, a nowe budowle wznoszono wolno i z trudem. Robotnicy stali oparci o łopaty, ćmili sporty, które trzymali między kciukiem i palcem wskazującym; mijałam ich z oczami wbitymi w chodnik, czekając, aż bluzną.

Krajobraz Trójmiasta zmieniał się ospale i niechętnie. Niezmienione oblicze gdańskich, gdyńskich i sopockich ulic trwało przez lata: kiedy gdzieś postawili sam, wszyscy wiedzieli, że będzie tam zawsze, z mrugającym na dachu szczerbatym i burczącym neonem, fioletowo-cynobrowym. Na rogu 10 Lutego i Władysława IV w Gdyni stały parterowe pawiloniki handlowe, wzniesione tam „na chwilę” zaraz po wojnie. A w nich prywaciarze handlowali komisowym towarem przywiezionym przez marynarzy z morza i plastikowymi koralami. „Chwila” trwała cztery dekady.

Książka telefoniczna wychodziła raz na pięć lat, życie w Trójmieście toczyło się powoli. Czerwone trolejbusy pojękiwały leniwie na gdyńskich zakrętach. Za oknami dziadków Krzyżanowskich na Dziesiątego Lutego Trzydzieści rozpędzały się żółto-niebieskie wagoniki przedwojennego S-Bahnu z Berlina, które właśnie ruszyły ze stacji Gdynia Główna Osobowa do Gdańska.

Mały Grześ stał na parapecie okna w mieszkaniu dziadków, przytrzymywany przez babcię Jadzię, i patrzył na kolejkę huczącą po wia-

dukcie tuż za oknami; bawełniane rajstopki zwijały mu się na nóżkach w niezliczone obwarzanki, a on mówił, pukając tłustym paluszkiem w ogromne szyby wielkich okien:

– Kejka dansia...

Znaczyło to: kolejka pojechała do Gdańska.

Przedwojenne, niemieckie bądź co bądź wagoniki zastąpiono nowymi dopiero w 1976 roku; i z tym nikt się nie spieszył.

W mieście stały dwa kina, w których ekran był szczególnie narażony na grawitacyjne przygody. Po ekranie galopował ogorzwały Gojko Mitić, przebrany za Winnetou, już-już dosięgały go kule zdradliwych białych twarzy, ale na szczęście za szczytową ścianą kina Delfin długim łukiem z pętli w Oliwie nadjeżdżał, jak wybawienie, czerwony tramwaj. Tory jęczały tuż za ścianą z ekranem, parterowy przedwojenny budynek dygotał, na drżącej ścianie ekran wybrzuszał się, a blade twarze wykrzywiały w sfalowanych i kołyszących się dramatycznie krzakach. Z okienka operatora dochodziły ciche ni to przekleństwa, ni to chichot. Gojko Mitić był uratowany. To samo działo się w kinie Tramwajarz w alei Wojska Polskiego we Wrzeszczu. Kino Tramwajarz stało w środku zajezdni tramwajowej. Tyle że tu okres drgań był krótszy niż w Delfinie, bo płócienny ekran – bardziej napięty.

W uszach brzmiał jazgot o rozwoju naszej socjalistycznej ojczyzny, do którego w latach siedemdziesiątych Gierek dorzucił jeszcze przymiotnik „dynamiczny”. Buczała w kinach *Polska Kronika Filmowa*, schowany za prześcieradłem Andrzej Łapicki przemawiał do nas słodko, ekran burchlił się, łopotał i podskakiwał.

Wszyscy wiedzieli, że Andrzej Łapicki tak musi mówić, że oni w ogóle muszą. „Oni tak mają”, powiadano o Onych.

– Tato, po co czytasz te gazety? – pytałam pod koniec lat siedemdziesiątych. Tata przychodził z pracy, jedliśmy obiad przy kuchennym stole, po czym on zasiadał w fotelu i przeglądał plachty „Dziennika Bałtyckiego”.

– Jak to po co? – odpowiadał, szeleszcząc gazetą. – Trzeba wiedzieć, gdzie żyjemy i co oni nam szykują...

Oni zatem coś tam mówili i pisali w swoich gazetach, a my czekaliśmy mniej lub bardziej niecierpliwie. Wiedzieliśmy, że jak skończą, i tak na drgający ekran wjedzie Gojko Mitić. Jest, jak jest, wiadomo, że nie może być inaczej, widać to, co widać, i słyhać to, co słyhać. Inaczej nie będzie. Trzeba żyć, chociaż nic się nie dzieje. Trzeba patrzeć, może gdzieś rzucą piwo? Tomek, najdowcipniejszy z całej licealnej klasy, tłumaczył:

– Zanim gdzieś pojedziesz, weź pod uwagę, jaka tam jest izobrowara. Znaczący, w zasięgu jakiego browaru jesteś. Żuławy, izobrowara elbląska. Żagle na Jezioraku, izobrowara olsztyńska. Siki. A tu u nas... izobrowara gdańska. Nie do picia, w dodatku browar za torami okropnie śmierdzi słodem. Ale co robić.

Najszybciej budowały się kościoły i rosły drzewa. Tak było, kiedy byliśmy młodzi.

A ciagle przecież nam się wydaje, że nie jesteśmy starzy.

I dlatego – chociaż dzisiaj życie toczy się coraz szybciej, na znanych ulicach powstają nowe budynki, centra handlowe rosną jak grzyby po deszczu, gazety tętnią newsami i nie wiadomo, do czego wychowywać dzieci urodzone jeszcze za komunizmu, które słuchają nas z ironią w tych rzadkich chwilach, kiedy wyłączą empetrójkę – pamiętamy i przypominamy sobie powoli, jakby wszystko było jeszcze w zasięgu ręki, tamten świat: przedwojenni dziadkowie Krzyżanowscy, smakowite zupy gotowane przez Marysię Fusztej, pomoc domową ze Stanisławowa, ulice Gdyni wyłożone granitową kostką, a pod koniec lat sześćdziesiątych pokrywane asfaltem jedna po drugiej...

Na skwerze Kościuszki w Gdyni stał pomnik czegoś nieokreślonego, co dopiero po bliższych oględzinach i wiele lat później okazało się – niestety – Pomnikiem Wdzięczności Armii Radzieckiej. Może za to, że nie spaliła Gdyni doszczętnie? A mogła. Jak spaliła niedaleki Danzig, aż do spodu.

Pomnik: tęga niewiasta, niczym Matka Ziemia postawiona na wysokiej kolumnie, podnosiła sztandar, tuliła dziecko, gdzieś boczkiem wisiał jej kałasz, prężyła obfitą pierś ku promiennemu jutru, słowem – miała pełne ręce roboty. Rzecz cała, może z wyjątkiem tego

nazbyt już mlecznego cyca, nosiła piękne proporcje, powagę i godność, wspaniale zamykała perspektywę 10 Lutego i zapowiadała znaną bliskość morza tuż za swoimi masywnymi plecami. Na głowie siadały jej mewy.

Nie byłam gdynianką. Wychowywałam się we Wrzeszczu. Oglądałam Cycatkę, kiedy odwiedzałam dziadków Krzyżanowskich. Jeździłam do Gdyni często i chętnie, podrzucana babci Krzyżanowskiej przy różnych okazjach przez moich rozrywkowo-turystycznych rodziców, mamę Olgę, też z Krzyżanowskich, ale innych, i tatę Jerzego, współautora tej książki. Mieszkał tam wtedy Grześ, mój kuzyn. Opiekowała się nim, jak należy, dziewczyna. Owe dziewczyny, najpierw Hela, a później Wisia, zabierały nas na spacerunki pod Kamienną Górę, na skwery pod muszlą koncertową, na budujący się bulwar nadmorski. Zaintrygowani gapiliśmy się na cycatą panią na potężnej kolumnie. W porcie buczyła syrena.

Hela była Kaszubką i przyprawiła raz Grzesia o poważny niepokój. Dostał od rodziców piękny helikopter. Nauczony, że to lata, o, patrz, śmigło się kręci, i nazywa się helikopter, zaprotestował z rykiem:

– To nie Heli koptej! To Grzesia koptej!

Grześ był aseptycznie chowany za sprawą babci Jadzi, która patrzyła na ręce jego matce, dwudziestoparoletniej Honoracie. Już sama instytucja spaceru z nianią dziwiła mnie niepomrotnie, bo u rodziców i u drugiej babci we Wrzeszczu nie chodziło się na spacerunki. We Wrzeszczu było jedynie podwórko z wrzeszczącą dzieciarnią, a do spacerów nikt nie miał głowy. Wychodziłam na to podwórko, a z podwórka leciało się bawić, najchętniej na cmentarz. O tym, że cmentarz był poniemiecki, jeszcze nie wiedziałam. Cmentarz fascynował mnie: zarastał obficie bluszczem, a granitowe płyty dostojnych grobowców doskonale nadawały się do zabawy w dom. Na największej płycie obowiązkowo organizowaliśmy stół, na mniejszych układaliśmy lalki do snu. W słońcu na płytach ostro odcinały się dziwaczne, niewidziane nigdzie indziej litery. Później okazało się, że to szwabacha.

Zabawami na cmentarzu nie chwaliłam się zanadto, czując przez dziecienną skórę, że to nie spotkałoby się z aprobatą. Może dlatego,

że na Dziesiątego Lutego Trzydzieści dużo mówiło się o bakteriach i zwalczano je konsekwentnie. Przed obiadem myło się ręce z całym ceremoniałem w łazience w czarno-żółte kafelki. Zwyczaj mycia rąk wydawał mi się interesującą nowością, ale nie bardzo mi się podobało, że jest taki rygorystyczny. Bakterie w Gdyni musiały być bardziej zjadliwe niż we Wrzeszczu. We Wrzeszczu bowiem do mycia rąk nikt nie zmuszał.

Kiedyś Grześ został podrzucony do Wrzeszcza; wdrapał się tam na drzewko naprzeciwko domu, a kiedy się po nim wspinał, zatrzymała go niepokojąca myśl. Przywołał do okna moją drugą babcię, Jasię, grubym głosem pięciolatka:

- Babciu, babciu! Patrz, gdzie ja wlażłem!
- Świetnie, Grzesiu! Dzielny z ciebie chłopiec!
- Babciu, a czy tu na drzewie są bakterie?

Babcia Jasia, chirurg i stomatolog, opuściła bezradnie ręce. Wiadomo, bakterie były w gabinecie dentystycznym, ale czy na drzewie? I czy szkodziły dziecku? Tego nie wiedziała. I nie zamierzała się dowiadywać.

Po upadku komunizmu szybko zlikwidowano i kolumnę na skwerze Kościuszki, i Cycatkę, i wdzięczność, rzecz jasna; wzrok biegnący ku morzu spod bramy kamienicy dziadków na Dziesiątego Lutego Trzydzieści napotyka dopiero pękaty i przysadzisty pomnik Korzeniowskiego na końcu gdyńskiego molo. I komu to przeszkadzało, że zacytuję klasyka? Może Cycatka, i to w złym guście, na pewno niesłuszna, ale po co od razu krzesła łamać? Nawet i w słusznej sprawie, że nie będzie Ruski pluł nam w twarz i zaśmiewał miasta swoimi fizylierkami?

Po Cycatce nie ma zatem śladu. Tylko mewy dalej skrzeczą nad skwerem Kościuszki. Żółte dźwigi uwijają się przy Sea Towers. A te mają być najwyższe w całej Polsce. Przedwojennej Gdyni także jest coraz mniej.

Po dziadkach Krzyżanowskich zostały listy. Cud, że przy pospiesznym likwidowaniu mieszkania, najpierw po śmierci dziadka, a potem babci, nie rozproszyliśmy ich bezpowrotnie...

Dziadek Jurek był pełen radości życia i energii, ale też systematyczny i zdyscyplinowany. Przyjmował pacjentki przy staroświeckim, przepaścistym biurku z ciemnego drewna, z głębokimi szufladami. Leżały w nich kartonowe teczki z dokumentami, dyplomami, rachunkami. Tyle pozostało z przedwojennego i powojennego lwowskiego i gdyńskiego życia.

Dziadek umarł, gdy miałam piętnaście lat. Był kochany, łatwy i ciepły.

– Tylko mi jej nie bijcie – mówił ze śmiechem moim rodzicom, oddawał im noworodka, któremu niedoświadczeni młodzi mogli przecież zrobić krzywdę. Pachniał wodą Cologne 4711 albo przemyślawką. Całował mnie w buzię, uśmiechał się, przytulał i mówił:

– Ziabije i żjem...

Chorował przez ostatnie pięć lat życia. Miał raka krtani. Ostatecznie nie powiodły się wysiłki, aby oszczędzić struny głosowe, a naświetlania bombą kobaltową nie przyniosły pożądanego wyniku. Radykalna operacja zaatakowanych strun pozbawiła go głosu. Chodził cierpliwie i wytrwale do logopedki, która uczyła go mówić bez użycia strun, i chyba nieźle się nauczył. Ja jednak nie bardzo go rozumiałam, więc unikałam kontaktu z nim. Nie złościł się, że go nie rozumiem, ale raz jeden się zniecierpliwiał – i odtąd bałam się być z nim sam na sam.

Dzielnie znosił swoją chorobę, nie użalał się nad sobą i pozostał aktywny. Chodził na dalekie spacerunki po gdyńskich wzgórzach, z mapami setkami. Przedwojenne mapy setki były niezwykle egzotycznym i wyjątkowym towarem, nabytym przez dziadka tuż po wojnie w gdyńskiej hali targowej – zanim znikły bezpowrotnie. W trosce o obronność kraju wydawnictwom kartograficznym surowo bowiem zakazano sprzedaży map w dużej skali, a to na wypadek wybuchu trzeciej wojny światowej. Wróg miał wynurzyć się z wody albo nadejść z zachodu. Moi koledzy, szkoleni w ramach śmiertelnie nudnych zajęć „z wojska” dla studentów, opowiadali, pękając ze śmiechu, jak na wszystkich wojskowych ćwiczeniach, symulowanych natarciach i grach wojennych, wróg zawsze zjawiał się z zachodu. Innego wroga nie było i być nie mogło.

Wszelkie mapy o dużej skali bardzo by ułatwiły wrogowi jego zdradzieckie zadanie. Żeby było wiadomo, skąd on wyszedł, brono-
wało się plaże.

Zajęcia „z wojska” były źródłem nieustannych dowcipów opowia-
danych przez udręczoną studencką publiczność. Na przykład jeden
z wykładowców, proszony przez studentki o przełożenie kolokwium,
wyznał, rozkładając ręce:

– Proszę pań, co ja mogę? Ja przecież niewładny...

Pokładałyśmy się ze śmiechu. Pan patrzył na nas zdumiony.

Nie szkodzi, że wróg zaraz wejdzie do lasu i jego wraży ślad zginie
wśród nadmorskich karłowatych sosenek. Czujność musi być.

Sfatygowane setki z tajemniczymi niemieckimi i polskimi na-
zwami, kupione przez dziadka Jurka w hali, studiowałam godzinami.
Kazano mi obchodzić się z nimi ostrożnie, bo każdy wiedział, że
zniszczona setka to setka stracona bezpowrotnie, nie kupisz takiej już
nigdy i nigdzie.

Oto Langfuhr, czyli Wrzeszcz. Dlaczego tak dziwnie się nazywa?
Bo niemiecki on był? Przed wojną? Naprawdę?

Na Langfuhrze duża plama tuszu. Wylał go tacie na mapę ko-
lega w czasie studiów na pierwszym roku Wydziału Mechanicznego
Politechniki Gdańskiej. Oto Zoppot. Oto Orłowo, przedwojenny
polski kurort z eleganckim molo. Może krótszym niż w Zoppot, ale
ono nasze, polskie. Tutaj dziadkowie Krzyżanowscy przyjeżdżali na
plażę z przedwojennej Gdyni. Tędy, ulicą Przebendowskich, chodził
nad morze kilkuletni tata z Zichą – swoją opiekunką Zofią Orleńską –
i skarżył się, że bolą go nogi. A tu folwark Kolibki. A to czarne to
granica Polski i Gdańska, o tu, na tej rzeczce. A to Kartuzy. No i Brda,
i Wda, pomorskie rzeki sprzyjające kajakowym wyprawom, przemie-
rzone z mamą i tatą składanym paksem, luksusowym enerdowskim
kajakiem skonstruowanym według słynnego niemieckiego modelu
marki Klepper z lat trzydziestych. Paksa rodzice kupili zaraz po ślubie;
jego szafirowy pokład z biegiem lat spłowiwał do niebieskiej szarości,
spalony słońcem swojskich a tajemniczych szlaków: Wel, Drwęca,
Drawa, Gwda, Obra, Zbrzyca i Kłonicznica. Pętla Jezior Raduńskich.

Brda, Wda i Gwda – mamrotałam pod nosem, zafascynowana dudniącymi zbiegami spółgłosek.

Dziadek Jurek brał te cenne mapy i laskę, na łysiejącą głowę kładł płócienną czapczkę z daszkiem i ruszał na swoje wędrówki. Wracał do Gdyni kolejką elektryczną. Kolejka Wejherowo–Tczew rozpędzała się do pełnej szybkości za stacją Gdynia Główna Osobowa, tuż za oknami dziadków – szyby wtedy drżały – i zaraz potem zwalniała, żeby zatrzymać się na stacji Gdynia Wzgórze Nowotki, przed wojną Wzgórze Focha, obecnie Wzgórze Błogosławionego Maksymiliana Kolbego. Nie miała ta stacja szczęścia do nazw, oj nie miała. Rozumiem, że Maksymilian Kolbe umarł śmiercią bohatera, ale toponimicy są zgodni: mówią, że nazwa własna używana w mieście nie powinna składać się z więcej niż dwu części. Ale w Gdyni to nikomu nie przeszkadza: bo jest tam jeszcze ulica 2. Morskiego Pułku Strzelców...

Do Wrzeszcza jechało się dwadzieścia pięć minut. Na stację Gdańsk Politechnika. Tam mieszkali rodzice, babcia Jasia i ja.

Dziadek dużo czytał i słuchał muzyki. Oboje dziadkowie przepadali za Kabaretem Starszych Panów i zaśmiewali się, słuchając piosenek Wasowskiego i Przybory. Dziadek nucił sobie:

– U ha, tralala, kapturek sześćdziesiąt dwa!

Albo chichotał:

– Czapczkę nosił z szykiem, czerwoną z kutasikiem...

Wdzięki zaś Kaliny Jędrusik i jej omdlewający głos gromadziły przed telewizorem całe zachwycone domostwo.

Babcia Jadzia chętnie czytywała „Przekrój”. Kupowało się gazetę z programem telewizji na tydzień, babcia przeglądała go dokładnie i podkreślała ołówczkiem wybrane programy.

Za oknami szemrał sobie komunizm, dudniła kolejka, fasady eleganckich kamienic gdyńskich, nietynkowane od dziesięcioleci, pokrywały się brudem, ale u dziadków Krzyżanowskich nadal panował tryb życia przedwojennego inteligenckiego domu. Na stole w stołowym niezmiennie leżał biały adamaszkowy obrus. Mieszkanie zrobiło się mniejsze niż dawniej. Nie było już wprawdzie lokatora z kwaterunku, który pewnego dnia w latach pięćdziesiątych po prostu

przyszedł ze stosownym papierem w rękę i oznajmił, że teraz będzie tu mieszkał, ale kwaterunek jako taki czuwał. W latach sześćdziesiątych mieszkanie dziadków okrojono o dwa pokoje, a za ścianą zamieszkali Maciejewscy – nie mówiło się o nich inaczej niż z przekąsem. Nawet połowa dębowych drzwi wejściowych teraz była Maciejewskich i zawisała na nich wizytówka z mosiężnymi literami, na którą patrzyłam z niechęcią.

Były też sławne imieniny. Jerzego przypadało 23 kwietnia, a Jadwigi 15 października. Zestawiało się razem wszystkie domowe stoły wzdłuż dwóch pokoiów, połączonych wielkimi rozsuwanymi drzwiami. Babcia Jadzia wyciągała z szuflad obrusy, przy talerzach kładło się srebrne sztuce. Przychodzili wszyscy Krzyżanowscy: obaj bracia dziadka Jurka z żonami: Kalikst i Janusz z Busią i Józią. Obu siostrom: Busi i Józii, przyglądałam się zafascynowana, bo Busia była ładną panią, o gładkiej buzi i siwych lila włosach, a Józia wydawała mi się okropnie brzydka. Przychodziła córka stryja Kaliksta i Busi, Krysia Lipińska, słynna w rodzinie z olśniewającej figury, i jej mąż Henryk. Henryk pokazywał Grzesiowi i mnie sztuczkę z odpadającym kciukiem, patrzyliśmy na niego z otwartymi buziami. Czasem przychodziła śliczna Kasia, córka Krysi i Henryka. Młody Kalikst, zwany Małym Lunkiem, syn Kaliksta, nie pojawiał się, bo mieszkał w Zakopanem.

Ale przychodziła zawsze Grażyna, córka Janusza i Józii, która wydawała mi się bardzo ładną i elegancką panią. Paliła papierosa za papierosem – wyciągała je ze srebrnej papierośnicy. Stanowiła zagadkę, gdyż nie miała męża. Poza nią bowiem męża miały wszystkie dorosłe panie. Pozostała na zawsze w rodzinnej anegdocie, ponieważ kiedy pracowała jako sekretarka w jakiejś gdyńskiej szkole średniej, odpowiedziała dumnie interesantowi, który ją prosił o przepisanie czegoś na maszynie:

– Ja tam pizspanną nie jestem!

Opowiadała o tym przy imieninowym stole z ogniem w oczach, stukając papierośnicą w blat.

A starszy syn Janusza, też Janusz, podobno zginął w czasie wojny, rozstrzelany przez gestapo. Ale o tym nigdy się przy rodzinnym stole

nie wspominało, a jak długo byłam dzieckiem, tak długo nie wiedziałam nawet, że Januszowie mieli kiedyś syna.

Przychodzili też przyjaciele Jadzi, państwo Tundakowie. Pani Sława miała klasyczną przedwojenną urodę Jadwigi Smosarskiej, kruczoczarne włosy zebrane w węzeł na karku i uczesane z nieskazitelnym przedziałkiem. Jej wiek pozostawał dla mnie tajemnicą: przyjaciółka babci, ale miała syna zaledwie dwa lata starszego ode mnie? Była prokuratorem i kontrast jej eleganckiej, pańskiej urody z groźną prokuratorską funkcją nieustannie mnie zadziwiał.

Przy stole zasłanym adamaszkowym obrusem zasiadała cała głośna i wzajemnie się przekrzykująca rodzina.

Kiedy moja mama, Olga, poznała mojego tatę i małżeństwo wisiąło w powietrzu, ostrzegła go:

– Tylko nie przejmuj się za bardzo, kiedy poznasz moją mamę i jej dwie siostry. One strasznie głośno mówią, wszystkie naraz, klócą się bez przerwy i nie dopuszczają nikogo do głosu.

– Nie szkodzi, jestem do tego przyzwyczajony. Kiedy poznasz mojego ojca, jego dwóch braci i ich żony, zobaczysz, że oni także strasznie głośno mówią, wszyscy naraz, i też nikt nikogo nie słucha...

Przy tym hałaśliwym i smacznie zastawionym stole zdarzyło mi się usłyszeć – wiele, wiele lat później, a były to już ostatnie lata rodziny Krzyżanowskich w pokoleniu moich dziadków – uwagę z gatunku inicjacyjnych, choć dalibóg o to nie zabiegałam. Miałam może czternaście czy piętnaście lat, w każdym razie oboje dziadkowie jeszcze żyli. Przy ogólnym stole toczyła się rozmowa o Krynicy Górskiej: Patria, Kiepura, sanatoria, wody lecznicze, cudowne ozdrowienia mężatek leczących się w Krynicy z bezpłodności... Rozochocony i zawsze rumiany, puciołowaty Janusz, zwany Nućkiem, przechylił się przeze mnie do mojego taty i westchnął zawadiacko:

– Ach, Krynica... Tam to się przed wojną pier...

Nie pomogły przerażone miny taty i wymowne znaki brwiami w stronę nieletniej panienki.

Nućku zresztą nie ograniczał się do krynickich przewag. Szep-tano w rodzinie, że po wojnie romansował z panią Konstancją. Józia

do pewnego czasu znosiła to cierpliwie, aż któregoś dnia cichutko, ale zdecydowanie wystawiła spakowane walizki Nućka do korytarza. Podobno pomogło i romans się skończył. Chociaż nie dałabym sobie ręki za to uciąć... Nućku był muzykalny i rozrywkowy; pięknie śpiewał, akompaniując sobie na fortepianie. Na przykład taką piosenkę:

Mówił wiele, długo, zawzięcie,
a chociażby i godzin sześć,
bo był posłem aż w parlamencie,
jaka chwała i co za cześć!
Tylko żona zawodzi trele
i tak mówi do jednej z dam:
„Dlaczego krowa, co ryczy tak wiele,
Tak mało mleka daje nam?”

Na wszystkie ważniejsze okazje nosił Nućku muszkę, żadną tam na gumce, ale porządną, wiązaną, i za sprawą Krynicy i pani Konstancji miał w rodzinie opinię bon viveura.

Kiedy tata czasami zastanawiał się, czy na jakąś dużą imprezę nie włożyć muszki, mama krzywiła się i mówiła:

– Nie wkładaj muszki, będziesz wyglądał jak Nućku... Muszki noszą starsi panowie, przynajmniej koło sześćdziesiątki!

Dzisiaj ja sama mam ponad pięćdziesiąt lat.

Rodzinne anegdoty, aluzje, melodyjki nucone przy goleniu, żartobliwe imiona, odległe pozostałości lwowskiej gwary, smaczne plotki, złośliwości, z których nie wyparowała jeszcze rodzinna uszczypliwość przemieszana z serdecznością, zdają się drzeć w powietrzu, wystarczy po nie sięgnąć. Ale nie szkodzi zapisać.

Bo też i drżą coraz ciszej.

Papiery z biurka po dziadku Jurku, kartony z dokumentami po babci Jadzi okazały się bezcenne. Zawierały drzewa genealogiczne rodziny, zapisane równym pismem dziadka na wielokrotnie sklepanych arkuszach papieru zwanego jeszcze nie tak dawno kancelaryjnym. Nazwiska polskie, rusińskie zapewne, być może słowackie, na pewno austriackie; cała wieloetniczna mieszanina z Galicji Wschodniej.

Miejsca narodzin: Brzeżany, Podhajce, Żółkiew. Lwów, Lwów, Lwów. W tekturowych teczkach leżały nieczytane od lat listy dziadka do babci i babci do dziadka. Metryka ślubu dziadków zawartego w kościele Świętego Antoniego we Lwowie. Dyplomy i świadectwa maturalne. Kartki z obozu jenieckiego. Listy krążące między Lwowem a Warszawą, kiedy oba miasta znalazły się w Generalnej Guberni. Księga meldunkowa domu dziadków Krugów, rodziców babci Jadzi – wywieziona ze Lwowa w 1944 przez Wimmerów – z adresem: Łyczakowska 83, właściciel: Józefa i Emil Krugowie, wyznania rzymskokatolickiego... I lokatorzy rozmaitych wyznań. Cudem uratowana ze Lwowa, który w 1944 roku zatonął w otchłani, razem z domem i ogrodem na Łyczakowskiej. Księga meldunkowa kamienicy w Gdyni...

Listy z czasów narzeczeństwa dziadków, z wczesnego okresu po ślubie, z pionierskiej podróży dziadka do Gdyni w 1929 roku, kiedy to rozglądał się, czy młodzi małżonkowie mogliby osiedlić się w tym nowym mieście, i listy z lat trzydziestych – przetrwały, jak się wydaje, w piwnicy domu na Dziesiątego Lutego Trzydzieści. Wrzucił je tam, razem z albumami rodzinnych fotografii dziadków, doktor Dörner, ów berlińczyk lub Bałt, który zajął ich mieszkanie wraz z całym dobytkiem wkrótce po wkroczeniu Niemców do Gdyni jesienią 1939 roku. Być może też przechowała je w nieznanej skrytce Berta Szymankiewicz, pomoc domowa dziadków, a później dozorczyńni domu z okresu okupacji i po niej.

Listy, które dziadek słał z oflagu Altengrabow, w którym siedział do marca 1940 roku, pełne niepokoju listy od dziadka Kruga, ojca babci Jadzi, ślانة z głodnego i niebezpiecznego Lwowa do głodnej i niebezpiecznej Warszawy w latach 1941–1943, listy jej siostry, Stasi Wimmerowej, informującej o aresztowaniu przez Niemców i o cudownym zwolnieniu męża Mariana – przetrwały Powstanie Warszawskie, przysypane hałdą węgla w piwnicy spalonego domu na Królewskiej. Tam je znaleźli z prawdziwym wzruszeniem dziadek i mój tata, kiedy 19 stycznia 1945 przyszli z Piaseczna do spalonej Warszawy zobaczyć, czy coś uratowało się z warszawskiego mieszkania. I w ogóle coś w mieście.

O tych czasach świadczą nie tylko papiery i dokumenty powiązane sznureczkami delikatną, niebiesko pożyłkowaną ręką babci Jadzi. Są jeszcze ci, którzy pamiętają. My wszyscy. Każdy coś pamięta. I każdy ma coś ciekawego do powiedzenia. Wystarczy puścić w ruch dyktafon. I słuchać.

Nasza seniorka, Krysia Krzyżanowska-Lipińska, snuje wspomnienia i odpowiada na pytania swoim soczystym językiem z lekkim lwowskim zaśpiewem, którego byłych lwowiaków przedzierzgniętych w gdynian zwykle pozbawił czas. Rozmawiali z nami: Bogdan, brat mojego taty, architekt, bimbomowiec, prawdziwy gdynianin, bo urodzony już w Gdyni, Hanka Krzyżanowska, kuzynka taty, z „linii Marianów” wywodzącej się od brata pradziadka Kaliksta; jedna z niewielu osób, które jeszcze żyją i pamiętają przedwojenne lwowskie czasy. Siostry Wimmerówny, kuzynki taty: Ania Wimmerówna-Sokołowska, obdarzona niezwykłym darem gawędy i obserwacji, wysublimowanym językiem i subtelnym poczuciem humoru. I jej siostra, Krysia Wimmerówna-Dębowska-Pawlikowa, obdarzona tymi samymi przymiotami. Syn Krysi, Piotr Dębowski, ichtiolog i podróżnik, który godnie zachował zalety swojej zmarłej niedawno mamy.

Andrzej Geber, dziennikarz z Krakowa osiadły od lat w Strasburgu, kuzyn Ani i Krysi, i sama Ania udostępniłi nam spisane w 1990 ręką mamy i cici, Jadzi Geberowej, jej wspomnienia z dzieciństwa i wczesnej młodości.

Oprócz hucznych imienin na 10 Lutego obchodzono także dwunastówki. Bracia i ich żony spotykali się w niedziele o dwunastej, po mszy w kościele, na którą poszli albo i nie; częściej nie. Jedli obiad, pijali, rozmawiali, zaśmiewali się.

Za mojej dziecinnnej pamięci w domu dziadków Krzyżanowskich kultu Lwowa ani Kresów nie było. Zapewne dlatego, że ich dorosłe życie upłynęło w Gdyni: dziadkowie przyjechali tam w 1929 roku. Oderwanie Lwowa od Rzeczypospolitej nie było dla nich osobistym bolesnym doświadczeniem – nie pakowali się, nie wyjeżdżali w towarowych wagonach na zrolowanych dywanach; nie pozostawili za sobą

mieszkania i przyjaciół w mieście, które niby było, ale jakby zapadło się bez wieści.

Owszem, czasem przelotnie wspominało się Lwów w rozmowie, i tyle. Żadne lwowskie wspomnienie dziadków nie przetrwało w mojej pamięci, żadne lwowskie adresy, żadne anegdoty. Pamiętam tylko tyle: George to był najlepszy lwowski hotel, ze świetną kuchnią, gdzie się chętnie chodziło. Nad łóżkiem babci Jadzi wisiał szkic ołówkiem, narysowany przez jej siostrę Stasię; przedstawiał cerkiew Świętego Jura. Dziadkowie mówili bez lwowskiego akcentu i nie manifestowali lwowskich sentymentów.

Albo może tylko ja ich o to nie pytałam?

Albo nie byłam ciekawa?

O Lwowie mówiło się rzadko. Albo nie z wnukami.

Albo ja nie słuchałam.

Chyba raczej to ostatnie. Kiedyś, pamiętam, była mowa o tym, gdzie urodził się mój tata. Coś tam mi się pętało po dziesięcioletniej głowie, że jakieś Wilno, jakiś Lwów, coś tam daleko na Wschodzie było i już nie ma... Tata miał w dowodzie nazwę tego miasta, opatrzoną na użytek opornych dobitnym napisem w nawiasach: ZSRR, ale właśnie wyleciało mi to z głowy. Prostudusznie powiedziałam, że urodził się w Wilnie.

Tego było babci Jadzi za dużo. Poczzerwieniała i rozzłościła się, a nigdy się na mnie nie złościła:

– We Lwowie! We Lwowie się urodził! Lwów z Wilnem pomylić, coś podobnego, w głowie się to nie mieści! Mogłabyś to raz na zawsze zapamiętać! My z dziadkiem z Galicji jesteśmy, nie z Wileńszczyzny!

Magda Krzyżanowska-Mierzevska

Jaremcze. Tam szum Prutu...

Moi rodzice, Jerzy Krzyżanowski i Jadwiga Maria Krużanka, istotnie pochodzili z Galicji. Poznali się w Jaremczu latem 1925 roku. Krużanka, ale z domu Krug – tak się wówczas uszlachetniało mieszczkańskie nazwiska dziewcząt na wydaniu.

Wakacyjne życie towarzyskie w Jaremczu w latach dwudziestych nie odbiegało istotnie od znanych nam obyczajów urlopowych w domach wczasowych końca XX wieku. Zachowało się kilka listów rodzinnej korespondencji z tych lat. Dobremu jedzeniu, popijaniu, tańcom w eleganckich pensjonatach Banku Gospodarstwa Krajowego i Zakładu Ubezpieczeń Społecznych towarzyszyły dansingi w miejscowej sali restauracyjnej, drobne ploteczki, kontrowersje między paniami, i zapewne między panami, i małe skandale towarzyskie. Z listów wysłanych z Jaremcza w sierpniu 1927 dowiadujemy się, że lwowska młodzież spędzająca tam lato:

[...] opanowana była przez wściekłą manię charlestona. Wszyscy aż do znudzenia grają, śpiewają i gwizdzą charlestona, a nogami ćwiczą pas przy stole, siedząco, stojąco, w płycznach Prutu i na skałkach w nurcie potoku.

Tańce sprzyjały flirtom, do których chętna była, także i przed epoką charlestona, śliczna bratowa mojego przyszłego taty, Wilhelmina Kalikstowa Krzyżanowska, zwana w rodzinie Buską. Buśka emanowała seksapilem. Obaj jej szwagrowie, mój tata i jego młodszy brat Janusz, mówili w braterskim slangu o paniach obdarzonych urokiem podob-

nym do magnetycznego a łobuzerskiego uroku Buški: „Babka mi brzęczy”.

Buška brzęczała jak najbardziej i błyskała białymi zębami, panowie na deptaku w Jaremczu wypinali do niej torsy, a rozbawiony tata donosił do Lwowa, że „Buška kona za panami, największą atrakcją jest teraz Janusz Kolmer”.

Kultywowano towarzyskie spacery, na przykład do Tatarowa, do wodospadu w Jaremczu, ale także zaawansowane wyprawy w Czarnohorę z Howerlą i Pop Iwanem.

Nastała wtedy moda na tenisa. Uczył się go także w czasie jaremczańskich wakacji Jurek Krzyżanowski, młody doktor wszech nauk medycznych, dyplomant Wydziału Medycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Jednakże sport ten, jak i inne, widocznie nie przypadł mu do gustu: nigdy go potem nie widziałem na korcie, choć popularność tenisa rosła.



Przełom Prutu przed wodospadem w Jaremczu.

W Jaremczu rozgrywano lokalne turnieje, a w późniejszych latach występowali na miejscowych kortach najlepsi tenisiści okresu nazwanego później międzywojennym: Jadwiga Jędrzejowska i Józef Hebda.

Do rytualnych zajęć towarzyskich należały także kąpiele w Prucie. Prut płynie przez Jaremcze płytką, szybką i usianą głazami bystrą wodą.



Prut płynie przez Jaremcze usianą głazami, bystrą wodą; Jerzy, załoty przy goleniu, 1925.

Tylko przed wodospadem i między głazami nurt rzeki zwalnia trochę i pogłębia się. Woda w tej górskiej rzece nie musiała jednak być zbyt zimna, skoro w rodzinnej korespondencji z tamtych lat nieustannie wspomina się o tych kąpielach. Rodziny i grupy towarzyskie sadowiły się na wybranych głazach, Prut nie tworzył bowiem plaży.



Życie towarzyskie nad Prutem
(od prawej – Busia, Jadzia Krużanka, Jerzy, Józia, Lusja i jej mąż Tadeusz), 1925.

Nawiązywano tu znajomości i flirty: jeśli nie w BGK lub w ZUS-ie, to tu, nad wodą, ze skałki na skałkę... Młodzi panowie przeżyli mięśnie, starsi wciągali brzuszki, panie występowały w fantazyjnych strojach kąpielowych przywiezionych z włoskiej Riwiery. Spoglądając spod ronderek nisko opuszczonych na czoło plażowych kapelusików – młodsze panie dawno już porzuciły szerokie kapelusze i śmiało wystawiały się na słońce, hołdując nowej modzie na opaleniznę – omawiały najświeższe ploteczki i komentowały żywo wakacyjne wielkie manewry, toczone przez eleganckie lwowskie towarzystwo.

Przydarzały się również nad Prutem czyny bohaterskie. Któregoś letniego dnia 1925 roku Jadzia Krużanka nieopatrznie utraciła grunt pod nogami niedaleko „rodzinnego” głazu, pewnie zachłysnęła się wodą, pewnie się splotyła i zaczęła topić. Średni wiekiem z braci Krzyżanowskich, Jerzy, dzielnie skoczył z pomocą wystraszonej dziewczynie i wybawił ją z opresji.



Powodzenie u pań (od prawej N.N., Lusja, Jerzy, Jadzia, Busia), 1925.

Jak głosi romantyczna legenda rodzinna: „tak się właśnie poznali”. Choć mogli widywać się już wcześniej w BGK, gdzie młodzi Krzyżanowscy i trzy młode Krużanki: Jadwiga, Stanisława i Emilia, zwana Lusią, się stołowali.



Jadzia Krużanka
w awantażowym
kostiumie wiedeńskim,
1925.

Romantycznie rozpoczęta znajomość Jadzi z Jurkiem przerodziła się w uczucie; doszło do przyjętych przez Jadzię i zaakceptowanych przez obie rodziny, Krugów i Krzyżanowskich, oświadczyn. Z okresu narzeczeńskiego zachował się jedyny list Jerzego do Jadzi, napisany w specyficznym, niespotykanym zapewne dzisiaj stylu:

Lwów, 2 września 1925 roku

Najukochańsza i Najdroższa Moja Jadzieńko!

Myśląc ustawicznie o Twoich lazurówoniebieskich oczach, pracuję już dwa całe dni na klinice, a marząc o zapachu polnych maków, piszę w moim cichym, surowym klinicznym pokoju, aby zdać Ci raport z tego, co się przez te dwa długie dni stało.

A więc zajechaliśmy do Lwowa szczęśliwie i cało, bez wypadków i bez zgubienia żadnego z licznych pakunków. Na dworcu oczekiwali nas Lunek i Pan Dyrektor. Z dyrektorem wycalowałem się siarczyście i przyjąłem gratulacje z tej przyczyny, że mam tę miłą przyjemność (zaszczyt) kochania się z Jego córką. Po tej pierwszej szalenie dla mnie miłej i zachwycającej gratulacji przyjmuję ciągle ze wszystkich stron, tam i z powrotem, od najrozmaitszych ludzi życzenia „narzeczeńskie”, bo trzeba Ci wiedzieć, kochana Jadzieńko, że stugębna fama miała już dość czasu, aby roznieść po całym Lwowie wieść, że Jurek zaręczył się z Jadzią. Ja z tego powodu noszę się dumnie i strasznie jestem zadowolony, a prostaczków, którzy nie zdołali zaobserwować tego historycznego zdarzenia, skwapliwie o jego dokonaniu pouczam.

W domu moim wszystko nadzwyczajnie. Wszyscy – nie wyłączając naszej kochanej Sioneczki, o której słyszałaś takie głupie plotki – oczekują z niecierpliwością tej chwili, w której Jadzieńka, złotowłosa ślicznotka, wsparta na moim ramieniu wkroczy w progi domu, dając się poznać w swej krasie i okazałości. Stary Luneczek cieszy się na to specjalnie.

Tymczasem moja różanousta nimfa siedzi z dala ode mnie i pozwala mi tęsknić. A może się rozmyśliła przez ten czas? Uważam to za rzecz wykluczoną, zwłaszcza że dziś patentowany pasjans wyszedł gładko, że nimfa mnie kocha i tęskni szalenie. Wyraz „szalenie” wyłąził z każdej karty.

Tak mniej więcej wygląda pierwszy list narzeczonego do narzeczonej. Wydaje mi się trochę bladym, aby go więc zabarwić, zaróżowić, ba, zakrwawić płomieniem, Jadzieńko, usta Twe cudne całuję i pijam z nich nektar boski... a tuląc do siebie, Kocham Cię, Jadziuś moja!

Twój Jurek

Wspomniany w liście „pan dyrektor” to ojciec Jadzi, Emil Krug, wicedyrektor lwowskiego oddziału BGK, z którym wkrótce połączyła młodego narzeczonego serdeczna przyjaźń. Sioneczka, o której, jak widać, młode pokolenie Krzyżanowskich złośliwie plotkowało w Jaremczu, to Janina Krzyżanowska, matka narzeczonego. O przyczynach tych niezyczliwych plotek będzie jeszcze okazja wspomnieć.

Wieś Jaremcze, gdzie Jadzia i Jurek poznali się w tak romantycznych okolicznościach, założono pod koniec XVIII wieku. Zamieszkiwali ją Huculi, to jest „tutejsi”, Żydzi i nieliczni Polacy. Pierwszy okres rozkwitu przeżyło Jaremcze w drugiej połowie XIX wieku, kiedy się okazało, że podgórski klimat służy „płucnie chorym”. Jaremcze liczyło już wówczas kilka tysięcy mieszkańców, w tym Ukraińców z rodzącą się ich świadomością narodową. Istotnie, na tle przemian społecznych końca XIX wieku,

aby mieszkańcy południowej części dawnej Rusi mogli poczuć się narodem odrębnym od Rosjan, musieli znaleźć dla siebie osobną nazwę. Stał się nią wyraz „Ukraińcy, ukraiński”, ale wyraz ten utarł się dopiero przed wybuchem pierwszej wojny światowej.¹

Wydaje się to daleko idącym uproszczeniem, choć odpowiada ówczesnym poglądom części polskiego społeczeństwa. Istotnie, „podczas gdy Piłsudski i jego obóz uznawał Ukraińców jako naród, [endecy] uważali ich za surowiec etniczny – przyszłych Rosjan lub Polaków”².

Paweł Jasienica przypomina, że najważniejsze dzieło narodowej literatury ukraińskiej, tomik wierszy Tarasa Szewczenki, był na Ukrainie zakazaną publikacją, „a to jeszcze za cara, który nie uznawał istnienia narodowości ukraińskiej”³.

Musiał to być car Aleksander II, który w roku 1876 zakazał druku wierszy Szewczenki. Sam Jasienica w czasie pierwszej wojny światowej natknął się na to dziełko w chłopskiej chacie pod Białą Cerkwią. Przypuszczał, że było ono drukowane pięćdziesiąt lat wcześniej w Galicji

i przemycane na Ukrainę. Następnym reprezentantem literatury ukraińskiej stał się dopiero Iwan Franko, na przełomie XIX i XX wieku, tuż przed wybuchem wojny.

Okres wojny i wczesne lata dwudzieste przyniosły Jaremczu stagnację. Nic dziwnego: przez Galicję przetaczał się walec wojny: front austriacko-rosyjski.

W 1914 roku doszło do ewakuacji władz namiestnictwa austriackiego ze Lwowa do Bielska i rozpoczął się stopniowy upadek habsburskiego wielonarodowego państwa austro-węgierskiego. Jerzy, mój przyszły tata, ewakuowany ze Lwowa wraz z rodzicami, zdał maturę w Bielsku w 1916 roku i zapisał się na Wydział Lekarski uniwersytetu we Lwowie, nazwanego po wojnie Uniwersytetem Jana Kazimierza. Choć wtedy front austriacko-rosyjski przesunął się daleko na wschód od Lwowa, mimo to tata trafił do armii austriackiej. W 1917 roku, po trzymiesięcznym wojennym kursie oficerskim, dosłużył się stopnia kaprała. A że zdał maturę, przysługiwał mu dźwięcznie brzmiący stopień *einjähriger freiwilliger Infanterist titular Korporal Kadet Aspirant*. Na froncie rumuńskim w 1917–1918 służył jako *Mediziner**. 3 listopada 1918 roku wstąpił do tworzącej się armii polskiej, a 10 listopada przyjechał do Warszawy Józef Piłsudski.

Dopiero pod koniec wojny pojawiła się sprawa Ukrainy. Początkowo ukraińskie aspiracje nie sięgały poza autonomię... Ale w rokowaniach pokojowych w Brześciu (luty 1918) delegację ukraińską uznano za partnera rokowań... Pojawiły się [wtedy] ambicje niepodległościowe, terytorialne Ukraińców, proklamowanie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej i zajęcie Wschodniej Galicji.⁴

Potem Obrona Lwowa w listopadzie 1918 roku.

W nocy z 31 października na 1 listopada Ukraińcy, korzystając z przychylności ustępujących władz austriackich, opanowali przejściowo Lwów... Ludność polska we Lwowie podjęła z Ukraińcami walkę i po kilku tygodniach [z pomocą odsiecz polskich oddziałów] zdołała ich

* Tytułatura armii C.K.

wyprzeć... Idea walki o Lwów i Galicję wraz ze stabilizacją wschodniej granicy Polski była w Polsce bardzo popularną. Walka młodzieży polskiej we Lwowie, zwanej Orłętami, których wielu zginęło, zapisała się w narodowej pamięci Polaków. Krwawe walki objęły całą Galicję Wschodnią.⁵

Tereny zajęte przez Zachodnioukraińską Republikę Ludową sięgały do linii Bełż–Rawa Ruska–Przemyśl–Lwów–Dobromil–Ustrzyki Dolne. Lwów łączył z wolnym Przemyślem wąski korytarz wzdłuż linii kolejowej, cel nieustannych ataków Ukraińców.

Dopiero polska ofensywa w czerwcu 1919 roku za linię Zbrucz wyjaśniła na jakiś czas kwestię przynależności państwowej Lwowa. Wschodnią Galicję czekało jeszcze jedno trudne wyzwanie: próba realizacji koncepcji Piłsudskiego i Petlury wspólnej walki o niepodległość Ukrainy.

Ofensywę na Ukrainę rozpoczął Piłsudski 25 kwietnia 1920 roku, a już 7 maja jego wojska wkroczyły do Kijowa.⁶

Po wspaniałej kampanii kijowskiej nastąpił jeszcze wspanialszy odwrót...

O kampanii kijowskiej piszę z pewnym – nieco wymuszonym – znanstwem, bo w mojej pierwszej pracy zawodowej wraz z innymi kolegami asystentami dziesiątki razy wysłuchiwałem opowieści szefa o zwycięskiej ofensywie, udatnym odrocie i o legendzie Legionów. Po kampanii kijowskiej szef, Robert Szewalski, wówczas siedemnastoletni, został zdemobilizowany jako bombardier artylerii. Opowieści jego, prezentowanych w znakomitej niemczyźnie z „wiedeńskim” akcentem, wysłuchiwać musieli w Katedrze i Instytucie wiele lat później w Gdańsku również nasi węgierscy i ukraińscy goście.

Ta ofensywa na Kijów spowodowała natychmiastową akcję Rosji radzieckiej.

Już 14 maja Armia Czerwona przeszła do przeciwnatarcia najpierw na północy [względnie stacjonarnego dotąd polsko-radzieckiego frontu

wschodniego], a potem na południu. W trzy miesiące później zagrożona była Warszawa, a Lwów znalazł się w kleszczach Konnej Armii Budionnego.⁷

W okolicy Lwowa najdalej na zachód wysunięta linia frontu przebiegała na wschód od Rawy Ruskiej, na zachód od Żółkwi, na wschód od Lwowa, na wschód od Drohobycza, ale na zachód od Stryja! Podaję przebiegi linii frontów w 1918 i 1920 roku, by zachęcić czytelnika do spojrzenia na mapę. Zagrożenie skuteczną inwazją bolszewicką wydawało się bardzo realne. Mimo to, ku zdumieniu zachodnich polityków i prasy, polskie społeczeństwo zachowywało spokój, wiarę w zwycięstwo i determinację do udziału w działaniach młodej polskiej armii. Znany manewr Piłsudskiego znad Wieprza i zwycięska Bitwa o Warszawę „doprowadziły do ciężkiej klęski Armii Czerwonej, ale i polskie wojska były tak wyczerpane, że o kontynuowaniu wojny nie mogło być mowy”⁸.

W 1920 roku dwudziestodwuletni Jerzy Krzyżanowski odbył trzymiesięczny Kurs Medyków i Lekarzy Wojskowych w Lublinie. Tu poznał i zaprzyjaźnił się z doktorem Zdzisławem Brichtą. Losy ich spletały się aż do 1939 roku. Wreszcie 12 grudnia 1920 roku Jerzego zwolniono z wojska, udzielając mu bezterminowego urlopu*. Mógł kontynuować studia medyczne na UJK, które ukończył, jak wspominałem, z tytułem doktora „wszech nauk medycznych” w roku 1924.

Po uzyskaniu dyplomu Jerzy zatrudnił się w Klinice Położniczej i Chorób Kobięcych UJK i na czas praktycznej nauki zawodu pod kierunkiem profesora Kazimierza Bocheńskiego objął stanowisko starszego asystenta kliniki.

* W listopadzie 1921 roku otrzymał awans na podporucznika sanitarnego rezerwy, a po zaliczeniu jednego z kursów lekarzy – oficerów rezerwy WP – na porucznika; w tym stopniu służył w wojsku w kampanii wrześniowej 1939 i leczył żołnierzy w lazarecie obozu jeńców wojennych na przełomie lat 1939/1940.



Zdjęcie taty na urlopie podyplomowym z Busią na kocyku w Kamieniu Dobosza, 1924.



Klinika ginekologii UJK – młodzi asystenci prof. Bocheńskiego (od prawej – dr „Siasiu” Liphardt, dr Sawicka, mój ojciec, starszy asystent kliniki).



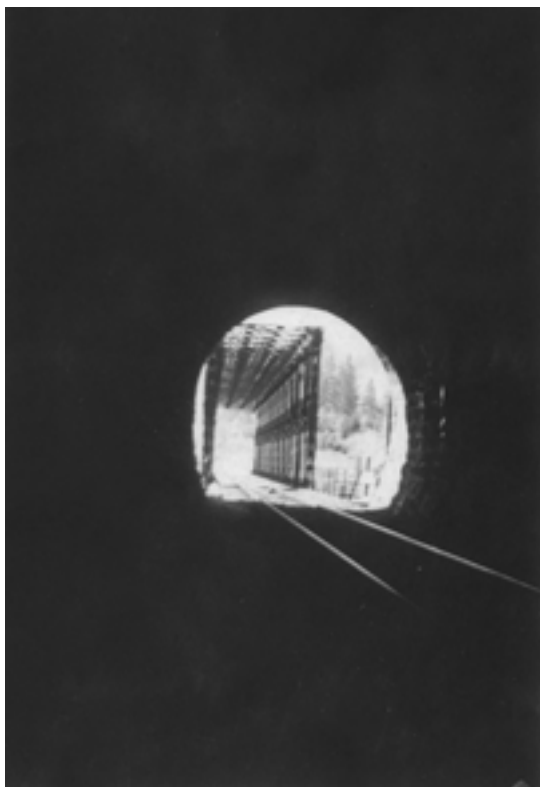
Wiadukt kolejowy nad Prutem – z lewej Jaremcze, z prawej tunel i Worochta.

Formalny traktat pokojowy pieczętujący egzystencję odrodzonej Polski i polską przynależność Lwowa, miasta Krzyżanowskich, zawarło w Rydze 18 marca 1921 roku.

Teraz możemy wrócić do Jaremcza, które krótko po wojnie i do czasu Wielkiego Kryzysu, a tym bardziej po kryzysie, weszło w niebywały okres prosperity, który trwał nieprzerwanie aż do 1939 roku.

W pewnym stopniu przyczyniła się do tego budowa w roku 1895 linii kolejowej Stanisławów–Tatarów–Jaremcze–Worochta–Sygiet Marmaroski. Połączyła ona atrakcyjny teren Pokucia ze Lwowem, Tatarów z Przełęczą Jabłonicką, zwaną też Tatarską, i Worochtą. Towarzyszyła temu droga bita łącząca sławne później osady Żabiego,

Tunel kolejowy
w Jaremczu – ujęcie
z wnętrza tunelu
w kierunku stacji
Jaremcze.



kurort w Kosowie i pasmo Czarnohory. Kamienny wiadukt kolejowy w Jaremczu, nad doliną Prutu, uważany był za „najszczytniejsze dzieło architektoniki drogowej na ziemiach polskich”. Ale sprawił to przede wszystkim wybuch inicjatyw gospodarczych, turystycznych i leczniczych wyzwolonego społeczeństwa południowo-wschodniej Małopolski. W 1928 roku nadano Jaremczu status miejscowości użyteczności publicznej, lecz już we wczesnych latach dwudziestych budowano tam na potęgę ośrodki uzdrowiskowo-wypoczynkowe ZUS-u i BGK. Prywatni właściciele stawiali nowe domy. Pojawiły się też nowe dzielnice Jaremcza, na przykład ważny dla rodziny Krzyżanowskich Kamień Dobosza, którego nie ma jeszcze na austriackiej mapie wojskowej z 1914 roku.



Fragment austriackiej mapy wojskowej Jaremcza z 1914 roku; dziesięć lat później teren między łukiem Prutu a szosą Jaremcza–Worochta nazwano Kamieniem Dobosza.

W tym też czasie młody architekt, projektant i przedsiębiorca budowlany, absolwent Politechniki Lwowskiej, starszy brat mojego ojca Kalikst Krzyżanowski, urodzony we Lwowie w 1890 i zwany w rodzinie Lunkiem – jak zresztą wszyscy liczni w niej Kalikstowie – stwierdził, że najwyższa pora skorzystać z tej jaremczańskiej prosperity. Lunek miał głowę do interesów, był rzutki, energiczny i przedsiębiorczy. Sprzedał kupioną wcześniej starą huculską chałupę nad Prutem,

w której latem pomieszkiwała Buśka z dziećmi, Kalikstem Juniorem i Krysią, urodzonymi w 1921 i 1923 – rzecz jasna, we Lwowie. W tej to chałupie mała Krysią stawiała pierwsze kroki. Sfotografował ją tam w białej sukience, trzymającą serso w rączkach, stryjku Jurek, wówczas namiętny fotoamator.



Mała Krysią z serso
na ganku huculskiej
chałupy Kalikstów, 1924.



Sąsiadki Kalikstów
w niedzielnych strojach
na progu ich huculskiej
chałupy w Jaremczu, 1924.



Próg tej huculskiej chałupy był też ulubionym miejscem zdjęć grupowych rodziny. Stoją: pierwszy od lewej Kalikst III i Jerzy, obok siedzą: ciocia Genia, żona Mariana II, i Busia, a na najniższym stopniu mała Krysią na kolanach i Kalikst IV.

Przedsiębiorczy Kalikst na prawym brzegu Prutu, w Kamieniu Dobosza, zbudował, mniej więcej w 1927 roku, całoroczną murowaną willę wypoczynkową. Miała ona własną elektrownię napędzaną dieslem – jedno z pierwszych takich urządzeń w Jaremczu! – własne ujęcie wodne i wodę w kranach, a nie, jak dawniej, w studni. W Kamieniu Dobosza miały wspaniałe lata dwudzieste... Jechało się tam do willi stryja Kaliksta i cioci Busi z dziećmi, z kucharką i pokojową, gdy tylko kończyła się szkoła: kończyła się rano, a po południu jechało się już do Kamienia Dobosza na całe lato. Wszyscy tam Kalikstów znali.



Busia z Kalikstem.



Willa Kaliksta w Kamieniu Dobosza, 1927.



Wspaniała kreacja Busi w pościeli.

Do Kamienia Dobosza wpadał także, jak wspominałem, mój tata, drugi spośród trzech braci Krzyżanowskich. A także najmłodszy brat, Janusz, zwany w rodzinie Nućkiem.

Popularność Jaremca szybko rosła. Komunikacja ze Lwowem była dobra: dało się tam dotrzeć choćby pociągiem. Mój przyszły dziadek ze strony mamy, Emil Marian Krug, poważny urzędnik bankowy, późniejszy wicedyrektor lwowskiego oddziału BGK i dyrektor Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, z małżonką, przyszlą moją babcią, Józefą z Górnickich, i trzema córkami podróżował do Jaremca wagonem pierwszej klasy. Wagon wyłożony był bordową aksamitną tapicerką i miał mahoniowe wykończenia umeblowania *coupé*. Rodzina Krugów wyjeżdżała do Jaremca, kiedy państwo Emil i Józefa rezygnowali z wakacji w Abacji, Puli czy na weneckim Lido lub w Merano. Może wybierali Jaremce, bo stawało się coraz bardziej popularne we Lwowie i wypadało się tam pokazywać w związku z wiekiem córek na wydaniu? W każdym razie jeden mariaż, moich rodziców właśnie, w Jaremczu się narodził. A może także napływ gości i przyjaciół ze



Kalikstowie II, z przyjaciółmi na wakacjach w Abacji.

Lwowa był dla dziadka, zapalonego brydżysty, bardziej atrakcyjny niż wojaże do Włoch, któż to dzisiaj wie? Mój drugi dziadek, Kalikst II, z żoną także zrezygnowali ze spędzania letnich wakacji w Abacji.

Można też było podróżować do Jaremcza samochodem! Stryj Kalikst, którego przedsiębiorstwo prosperowało doskonale i przynosiło – do czasu – poważny dochód, jeździł tam z przyjaciółmi i rodziną swoim chryslerem, a później innymi autami. Był to kabriolet



Chrysler Kaliksta – pierwszy samochód w rodzinie, na niedzielnej przejażdżce w Jaremczu, 1925.

ze składanym dachem, akumulatorem na lewym zewnętrznym stopniu i trąbką po zewnętrznej lewej stronie kabiny. Trąbkę uruchamiało się gumową gruszką. Strój szofera i pasażerów dostosowany był do ówczesnych warunków ruchu drogowego: panowie i panie podróżowali w twarzowych skórzanych kominiarkach, szczelnych okularach samochodowych, sportowych kombinezonach lub pudermantlach. Na pewno na tych gruntowych drogach Huculszczyzny nie powiewali szalami jak Isadora Duncan. Podróż ze Lwowa do Jaremcza – 180 ki-

lometrów – obfitowała w przygody: Jurek pisał do domu, że dojechali szczęśliwie, bo po drodze „tylko raz pękła opona”, pod Stanisławowem. Ale skończyło się na krótkiej emocji. Po to z towarzystwem jechał szofer, pan Marian Barszczewski, by z licznych kół zapasowych szybko wybrać jedno i dokonać wymiany.



Samochód w tarapatach; w drodze do Lwowa „tylko raz pękła opona”; pan Barszczewski i pułkownik Hertel z tym sobie radzą.

Do innego rodzaju przygód należały spotkania z końskimi zaprzęgami. Huculskie konie na widok samochodu zawsze ponosiły lub stawały dęba i nigdy nie było wiadomo, czym się to skończy. Stryj Kalikst, który, jak wiele lat później jego syn, młody Lunek, niestrudzony kawalarz, podsycił jeszcze emocje, wielokrotnie naciskając na pneumatyczny klakson. Chłop w zaprzęgu kłął, konie stawały dęba, panie były przerażone, a zadowolony Lunek śmiał się do rozpuku.

Dziadek Emil Krug z żoną i córkami wybierał podróż koleją – w tamtych czasach dżentelmeni w wieku około pięćdziesięciu lat należeli nieodwracalnie do statecznej generacji i przygody na huculskich drogach zapewne nie leżały w ich guście.

Co innego występy Emila i jego przyjaciół w amatorskim zespole teatralnym w Resursie Obywatelskiej na Akademickiej we Lwowie! Dziadek – popisowy numer – recytował podczas noworocznej kwesty dobroczynnej:

Staś na brzuszku nosił szelki,
a że lubił jeść karmelki,
i że czapka była cała,
więc pończoszka mu zleciała...

Zebrani w dostojnym wnętrzu Resursy nagradzali go burzliwym aplauzem; musiał ich bawić kontrast absurdalności wierszyka z pozycją społeczną deklamatora, odzianego w surdut, poważnego wicedyrektora banku. Datki sypały się obficie i wystąpienia pana dyrektora cieszyły się ogromną estymą wśród zaśmiewającego się obywatelstwa.

Przejażdżka fiakrem z dworca do domu BGK w Jaremczu – z małżonką i córkami – lub niedzielne wyprawy rodziny Krugów, również fiakrem, do pobliskiego kościoła należały już do normalnego repertuaru rodzinnego. W Jaremczu nie było wtedy kościoła katolickiego, a tylko osiemnastowieczna cerkiew Świętego Jana Miłościwego, która przetrwała do dziś wszystkie nawałnice XX wieku. Przejażdżki zaliczano nawet do pewnego rodzaju „fasonu”. We Lwowie z siedziby Krugów na Łyczakowskiej 83 do kościoła parafialnego Świętego Antoniego, choć to blisko, „starsi państwo” również jeździli fiakrem. Ale za mojej dziecinniej pamięci już do centrum, do pracy lub na zakupy korzystano z tramwaju. Od 1894 tramwaje lwowskie były elektryczne i wyjeżdżały z zajezdni na Pełczyńskiej, rześko dzwoniąc elektrycznymi dzwonekami. W wyjątkowych przypadkach rodzina Krugów jeździła taksówką: na dworzec kolejowy na drugim końcu miasta.

Tak więc latem 1925 roku Jadzia zaręczyła się z Jurkiem. Obie rodziny uważały, że zaręczyny młodych „były prawdziwą sensacją towarzyską Lwowa”. Jadzia okazała się pierwszą panną ze swojej klasy maturalnej (1924), która sposobiła się do mariażu.



Jerzy i Jadwiga w okresie narzeczeńskim.

Oboje stanowili ładną i dobraną parę.

Jak wspominałem, Jerzy był już wówczas, od 1 stycznia 1925 roku, starszym asystentem w Klinice Położniczej i Chorób Kobięcych Szpitala Klinicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Prowadził w katedrach Wydziału Lekarskiego zajęcia jako demonstrator. Był członkiem zarządu i skarbnikiem Towarzystwa „Wzajemna Pomoc Medyków”, piastował też stanowisko sekretarza Towarzystwa Ginekologicznego we Lwowie. Mimo bardzo dobrej pozycji finansowej rodziny pracował na uczelni od początku swej kariery studenckiej. Mieszkał wprawdzie ciągle jeszcze w pokoju asystentów na terenie kliniki, ale w znacznej mierze był już dojrzałym, samodzielnym i ustabilizowanym młodym człowiekiem.

W lecie 1925 roku, kiedy poznali się w Jaremczu, Jadzia była studentką po pierwszych trzech trymestrach studiów na Wydziale Filozofii UJK. Potwierdził to dziekan wydziału w Księżeczce Legitymacyjnej nr 7654 w dniu 28 sierpnia 1925. Na pierwszym roku słuchała wykładów profesora Tołłoczki z chemii ogólnej, wykładów z fizyki eksperymentalnej u Negrusza, matematyki dla przyrodników

i filozofów u profesora Stożka, krystalografii... Czemu Jadzia zdecydowała się na takie studia? Nigdy jej o to nie pytałem. Może uzasadniał to stopień „bardzo dobry” z fizyki na świadectwie maturalnym? A może chciała pójść w ślady starszej siostry Stasi, która właśnie robiła dyplom na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej? Z dalszej opowieści wynika, dlaczego od jesieni 1925 na te studia nie wróciła; z tego powodu w moich gimnazjalnych latach domowym autorytetem naukowym w matematyce, fizyce i łacinie był dla mnie raczej ojciec niż mama.

Nastąpiły rodzinne formalności narzeczeńskie, wzajemne wizyty rodziców, którzy przypadli sobie do gustu i odwiedzali się, już za mojej pamięci, do późnej starości, jeszcze w pierwszych latach drugiej wojny światowej.

Zanim doszło do ślubu w kościele Świętego Antoniego, Jerzy słał kwiaty do domu Jadzi. Zmienił też marszrutę z kliniki do swego pokoju na terenie szpitala klinicznego. Tereny szpitala przy Piekarskiej opuszczał przez północną bramę, szedł ulicą Hausnera do rogu Łyczakowskiej, skręcał w nią na lewo ku centrum, tuż naprzeciwko domu Krugów i przez Głowińskiego wracał na teren szpitala. Kto choć trochę zna topografię tej części Lwowa, wie, że była to droga nadzwyczaj okrężna. Musiał wiedzieć, że Jadzia stoi za firanką w salonie na pierwszym piętrze posesji Krugów przy Łyczakowskiej 83 i śledzi jego kroki. Na pewno mu to wcześniej czy później powiedziała, bo sama wspominała mi o tym z sentymentem, gdy byłem dorosłym chłopcem i rozumiałem się już na zawilosciach damsko-męskich.

Nieocenionym źródłem wiedzy o tamtych czasach jest córka stryja Kaliksta, Krysia Krzyżanowska-Lipińska, nasza seniorka.

Przed ślubem stryjku Jurek miał taki romans, z żoną swojego profesora Kazimierza Bocheńskiego, Klementyna chyba miała na imię. Bocheński o tym nie wiedział. Kiedyś na przykład Jurek zginął, Jurka nie ma, rozdzwoniły się rodzinne telefony – a on cichcem pojechał z Klementyną do Karlsbadu... Klementyna miała życie z przygodami. Jej pierwszym mężem był La Pierre. Z nim miała dwóch wspaniałych

synów; Bocheński ich utrzymywał. Potem, we Lwowie przed wojną, starszy La Pierre smałił do mnie cholewki. Po wojnie był okulistą we Wrocławiu, niedawno umarł.

Klementyna była zaborcza. Bocheńscy mieszkali w służbowym domu ordynatora z ogrodem przy szpitalu. Plotka opowiadana półgębkiem przez braci głośiła, jakoby była do tego stopnia beczelna, że kiedy Jurek uczył się do dyplomu i tam w klinice miał na parterze swój pokój, Klementyna podjeżdżała pod okno dorożką, zawoalowana, i przez okno wchodziła do niego do pokoju. Nie mogła być zatem taka stara, skoro bez problemu dawała radę wejść przez okno... Miała dużą swobodę, jej mąż się specjalnie nie interesował tym, co ona robi. Może wolał nie wiedzieć, a może miał swoje romanse?

Klementyna wprowadzała w zawodowe grono swojego męża nastrój światowego życia: ci wszyscy asystenci Bocheńskiego się tam razem tłamsili we Lwowie, rano razem w szpitalu i razem po pracy; razem chodzili na fajfy, razem chodzili do teatru, profesor, asystenci i pani profesorowa. Takie tam typowe akademickie zwyczaje tamtych czasów; terminowanie przy panu profesorze...

Jak wracali po nocy z teatru, to szli do Bocheńskich; Bocheńska budziła gospośię, kazała przyrządzać polędwicę i u profesorostwa bankietowali po nocach. Kiedy latem 1925 roku Jurek przyjechał z tego Kamienia Dobosza, gdzie poznał Jadzię, to mówił do mojej mamy: „Wiesz, ona taka śliczna w tym otoczeniu jaremczańskiej przyrody, jak takie dziewczę polskie”. Ale w mieście gwałtowny przypływ uczucia jakby odplynął. Może dlatego okres narzeczeński trwał prawie rok. Ale jednak się pobrali.

Obaj bracia Jerzego uważali, że perypetie romansowe wypada zlikwidować przed ślubem. Tymczasem termin ślubu się zbliżał, a bracia uważali, że kroki decydujące Jerzy podejmuje ospale. W każdym razie kwiaty przynosił posłaniec na Łyczaków tej jesieni i wiosny dość regularnie. Nie obeszło się tu bez wpadki, gdy okazało się któregoś razu, że bukiet dla Jadzi był darem wdzięcznej pacjentki dla pana doktora. Może jakieś żarliwe wyjaśnienia i piękne kwiaty zatuszowały sprawę, choć w przedślubnej korespondencji znalazłem ślady tego wydarzenia – Jadzia przez chwilę boczyła się na narzeczonego.

Klementyna umarła w latach trzydziestych. Po wojnie Bocheński pojechał do Wrocławia i tam był profesorem na Akademii Medycznej; podobno jak przychodzili studenci, to on się pytał: «Skąd ty jesteś, dziecko?». I jak ze Lwowa, to od razu stawiał piątki do indeksu. Czego to studenci nie wymyśliły o swoich profesorach!

Ścisłą tajemnicę o przedślubnym romansie Jerzego zachowywano w rodzinie przez lata, bo sam dowiedziałem się o nim ku mojemu zdumieniu – i rozbawieniu tą małopolską moralnością z *Pani Dulskiej* – dopiero zupełnie niedawno, wiele lat po śmierci wszystkich uczestników tej historii.

Ślub Jadzi i Jurka odbył się 5 czerwca 1926 roku w kościele Świętego Antoniego na Łyczakowie. Przyjęcie weselne przygotowano w domu panny młodej – w wielkiej, przechodniej jadalni z rozsuwanym w nieskończoność, jak na dziecinną skalę, stołem biesiadnym. Na tym samym stole trzynaście lat później, jesienią 1939 roku, miała się bawić w krokieta pokojowy czwórka dzieci Jadzi i Stasi, które schroniły się we Lwowie przed okropnościami drugiej wojny światowej...

Przy weselnym stole na Łyczakowskiej zasiedli liczni Krzyżanowscy i Krugowie. Byli też dziadkowie mamy; dziadek Górnicki, ojciec babci Józefy, swoją szczególną miłość do Jadzi przelał potem na mnie: czułem się przez to we Lwowie bezpieczny i kochany. (Patrz ilustracja na s. 158.)

Była też wizyta pary młodej u fotografa: Jerzy we fraku, Jadwiga w sukni tiulowej z długim welonem. To zdjęcie wisiało później przez wiele lat w sypialni rodziców.

Po weselu młodzi nie zamieszkali w pokoju asystenckim Jurka w klinice. Nie pamiętam zresztą, by kiedykolwiek była mowa o mamy przedślubnych odwiedzinach tam u narzeczonego. Może duch Klementyny płoszył nastrój, może wychowanie u urszulanek w ostatnich klasach przed maturą nie podsuwało Jadzi takich pomysłów, może głęboki katolicyzm dziadków Krugów nie licował z taką przedsiębior-

czością młodej panny z dobrego domu. Z domu weselnego świeżo upieczeni państwo Krzyżanowscy pojechali fiakrem do swego nowego mieszkania na ulicy Piekarskiej 59, urządzonego z finansową pomocą dziadków Krugów, którą Jurek potem spłacał. Był ukochanym zięciem, a Krug – cenionym teściem.

– Jadzia była dobrze wychowaną, świętną panną; oboje z Krugiem byli super! – mówi, uśmiechając się, Krysia.



Młoda para.

Kiedy Jadzia i Jurek się pobrali, świat uwolniony od grozy wojny odkrywał na nowo radość normalnego życia dla siebie, życia prywatnego, zwykłych przyjemności. Do Polski docierały echa książek o straconej generacji, echa francuskiego artystowskiego spleenu, karmionego wspomnieniem hekatomb w okopach na froncie zachodnim – docierały zagłuszone przez odległość, przez ogrom narodowych zadań do wykonania. Lwów był wesołym i zamożnym miastem, pełnym dobrych sklepów i znakomitych restauracji, na wieczorowych sukniach naszywano pajety, panie skracały włosy i układały na czole równiutko przycięte grzywki. Ludzie chcieli się bawić, dziś, teraz; seks zrobił się modny, różne rzeczy przestawały być tabu, van de Veldego *Matżeństwo doskonale* stawało się obowiązkową lekturą oświeconej młodej inteligencji. Jurek także kupił tę wywołującą skandal książkę.

W lecie 1926 roku młodzi małżonkowie spędzili wakacje w Brzuchowicach. Zaprosiła ich pani Stromengerowa, ze znanej lwowskiej rodziny Stromengerów*, mama koleżanki szkolnej Jadzi. Brzuchowice leżą kilka kilometrów na północny zachód od Lwowa. Wtedy uchodziły za podmiejskie osiedle kuracyjno-wypoczynkowe; wtedy i teraz, jak wynika ze współczesnych przewodników, niczym szczególnym się nie wyróżniają oprócz przyjaznego klimatu, ciszy i spokoju oraz piękn-

* W roku 1907 dla Jana Stromengera znany lwowski architekt T. Obmiński zaprojektował Dom Handlowy przy placu Smolki 4. Jeśliby Jan Stromenger był pradziadkiem Stromengerówny, to wiodłoby to do zabawnych związków towarzyskich: synem architekta T. Obmińskiego był Tolek Obmiński, niedoszły narzeczony Jadzi. Mariaż z Jerzym te związki przerwał. Ale po wojnie Tolek został profesorem Politechniki Gdańskiej i kierował Katedrą Statyki Budowlanej na Wydziale Architektury. Ze skąpej wymiany korespondencji wynika, że z Jazdzą utrzymywali kontakt. Tolek umarł młodo, w wieku 47 lat, ale pozostawił po sobie cenne dzieła, m.in. odbudowany po wojennej ruinie strop kościoła NMP w Gdańsku. Miał też piękną córkę; z Marysią Obmińską, absolwentką Wydziału Architektury PG, utrzymywałem bliską znajomość, nieświadom związków naszych rodziców. Dom na placu Smolki o wysmakowanej secesyjnej architekturze stoi do dzisiaj, ale nie służy już Stromengerom. Rozproszyli się po Polsce, lecz liczne ślady tej znanej lwowskiej rodziny, według profesora Niciei, łatwo znaleźć na Cmentarzu Łyczakowskim.

nego łąkowego krajobrazu, a także sosnowych, dębowych i bukowych lasów. Do dziś zachowało się tam podobno wiele ładnych willi z lat 1900–1939, może i willa Stromengerów?

– Kiedy przyjechaliśmy z ojcem do Stromengerów, parę tygodni po czerwcowym ślubie, razu jednego mama Stromengerowa odwołała mnie na stronę i udzieliła kilku rad przydatnych młodej mężatce. Między innymi powiedziała z wielkim przejęciem: „Jadziu kochana! Tylko nie zajdź zaraz w ciążę, poznajcie się, przyzwyczajcie się do siebie, zwiedźcie kawałek świata” – opowiadała mama.

Oburzona tym, co uważała za wtrącanie się pani Stromengerowej w nie swoje sprawy, mama poszła do taty, zrelacjonowała mu przebieg rozmowy i oświadczyła:

– Wiesz co? Dosyć tego nadzoru. A co! Robimy sobie dziusia?!

Tata chętnie dał się namówić.

– I tak się począłeś – kończyła opowieść mama.

Urodziłem się 26 maja 1927 roku, a zatem wizyta w – nomen omen – Brzuchowicach musiała odbyć się w dwa miesiące po ślubie na Łyczakowie.

Mama w ciąży wyglądała ładnie i urodziła mnie gładko. Tak się wtedy mówiło w rodzinie, ale miałem jeszcze usłyszeć później o tym, jak ona sama to przeżywała. Kiedy w latach osiemdziesiątych była już bardzo chora, chętnie wracała do wspomnień.

Byłeś ślicznym niemowlaczkiem; kiedy się urodziłeś, ważyłeś cztery i pół kilograma (!) i miałeś pięćdziesiąt jeden centymetrów. Kiedy pierwszy raz po porodzie przynieśli cię do mnie, byłam zachwycona; oglądałam cię uważnie, golaska leżącego mi na kolanach, i zauważyłam na twojej jasnej głowce dwa wicherki; pomyślałam sobie: oj, niełatwo będzie chłopcu zadbać o fryzurę.

I miała rację: przez całe dzieciństwo i lata studenckie miałem zawsze na głowie sterczące dwa koguciki. Później sprawa sama się rozwiązała – czupryna przerzedziła mi się dość wcześnie.

– Ale namęczyłam się, póki cię nie urodziłam; byłeś bardzo duży, nie obeszło się bez cięcia krocza; położna przystąpiła do rzeczy bez żadnego uprzedzenia, bez żadnego znieczulenia; nie było wówczas nawet w klinice uniwersyteckiej takich zwyczajów, nawet w stosunku do żon najprzystojniejszych asystentów kliniki. Odczułam to cięcie jak smagnięcie rozżarzonym żelazem i ostatecznie się rozżaliłam, a położna zapytała: „Czemu pani krzyczy, nic się przecież nie stało!”.

Działo się to ponad sześćdziesiąt lat przed akcją „Gazety Wyborczej” „Rodzić po ludzku”. Mama umarła w 1984 roku i nie dożyła czasów, by o tym poczytać. Przy urodzinach zaś jej pierwszej wnuczki, w latach pięćdziesiątych, nowinki z „gazem rozweselającym” zwołniły akcję porodową i mało brakowało, a byłyby kłopoty. Ale w latach dwudziestych nawet kochającemu mężowi położnikowi takie fanaberie z rodzeniem po ludzku nie przychodziły do głowy. „W bólach rodzić będziesz”, Bozia tak chce i już. Za to byłem wdzięcznym dzieckiem i rosłem zdrowo.



Mama w ciąży wyglądała ładnie.



Tacie też się podobałem.

Jako syn ginekologa mam w tej dziedzinie wiedzę raczej amatorską; dopiero na ćwiczeniach wojskowych w 1962 roku okazało się, jak góruję w niej nad moimi kolegami z plutonu Oficerskiej Szkoły Rezerwy Wojsk Samochodowych w Pile.

Panowie dyplomowani inżynierowie opowiadali sobie o kobietach, jak to w wojsku. Wielu z nich wykazywało przy tym niesamowitą wprost nieznamość kobiecej fizjologii. Snuli opowieści upstrzone średniowiecznymi wyobrażeniami o najprostszych sprawach. Słuchałem tego zafascynowany, nie mogąc wprost wyjść ze zdumienia tymi pokładami legend, ignorancji i zabobonów. Przywiozłem wtedy z przepustki do domu w Gdyni sławną książkę van de Veldego o małżeństwie doskonałym. Był to wtedy tom już szacowny, pokryty grubą patyną czasu i absolutnie nierewolucyjny. Co nie przeszkadzało, że koledzy wyrwali go sobie, czytali z wypiekami na twarzy, przy lekturze kręcili głowami i wydawali okrzyki zdziwienia. Najprostsze informacje o biologii zaskakiwały ich i budziły erotyczne emocje komentowane soczystym wojskowym językiem. Tylko komendant Kompanii Oficerów Rezerwy przywoływał nas do porządku i ryczał do panów oficerów, spóźnionych z przepustki:

– Co to wam, obywatela oficerowie, oczy dupą zarosły?!

Tak to, syn ginekologa i położnika, zaniósłem oświatę pod oficerskie strzechy.

Teraz jest już jasne, czemu mama nie wróciła jesienią 1926 na studia. „Nie miała do tego głowy”. Niebawem się wyjaśni, dlaczego nie wróciła na studia w ogóle.

Jest także jasne, czemu nie spędziła lata 1927 w Jaremczu. W sierpniu miałem siedemdziesiąt kilka dni: wyjazd ze Lwowa do Jaremcza, gdzie u Kalikstów nie było jeszcze wody ani światła, nie mieścił się raczej w głowie. W BGK pań z niemowlakami do pensjonatu nie przyjmowano. Trzeba było zostać w domu na Piekarskiej 59 i jakoś sobie radzić samej. Bo tata na początku sierpnia wyjechał jednak na tydzień do Jaremcza, by odpocząć (po porodzie? Ale pewno i po ciężkiej pracy w klinice). Przez tych siedem dni napisał wprawdzie cztery listy, lecz nie jestem pewien, czy go mamie zastąpiły.

Rosłem szybko
i byłem zdrowym
dzieckiem.



Ale już właśnie z pierwszego listu, datowanego 8 sierpnia, dowiedziałem się o nadzwyczaj sprawnej podróży samochodem, bo „tylko jedna opona pękła pod Stanisławowem”. Mama musiała chyba rozpaczliwie pisać codziennie do Jaremcza, bo listy ojca sprawiają wrażenie dialogu z nią. W liście o dzień późniejszym pojawiają się wiadomości o problemach na Piekarskiej: Jureczek chory! Już mnie karmiono z butelki. Więc może temperatura niestosowna, a może skład mieszanki nie taki, a może nie 130 gramów, tylko 120, jak przed kilku dniami. W BGK rozgorzała dyskusja. Rad udziela młodemu ojcu także ciocia Józia, żona Nućka, doświadczona mama rocznego Januszka: flaszczykę z pokarmem wstawić do garnka z wodą i zacząć do jej zagotowania, potem „powąlkować” w dłoniach i podawać dziecku. W BGK zdumienie i zgorszenie: jak można dawać dziecku tak gorący pokarm?

Słowem, zamieszanie niesłychane – tata rozważa powrót do Lwowa, ale na razie wszakże zachęca mamę, by skonsultowała sprawę z doktorem Brichtą, cenionym pediatrą lwowskim i przyjacielem rodziny. Może liczył na to, że zanim dojdzie do konsultacji, będzie już

z powrotem we Lwowie? Ale w liście z 10 sierpnia sytuacja się poprawia: Juruś, Jurasek zdrowieje, za to mama skarży się na zawroty głowy! Píše smutne listy zdradzające obawy o niewierność, brak prawdziwej miłości męża, męczą ją zmory senne i dzienne. Może to depresja poporodowa, a może oznaki samotności? Szczęśliwie kabała stawiana mamie w tych dniach przez panią Szotarską nie ujawnia żadnej kobiety, która by w Jaremczu kręciła się wokół taty, a i Jurusiowi przepowiada niezawodne zdrowie. Kabała uchodziła w tamtych czasach za wiarygodne źródło nadziei; w każdym razie zdrowie dopisywało mi przez wiele, wiele lat.

Wśród licznych w tych latach Jureczków, Jurasków, Jurusiów obracałem się dotąd, aż sam podchwyciłem trawestację mego imienia. Zostałem Urasiem tak długo, jak długo byłem rozkosznym malcem.

Z listu z 12 sierpnia wynika też, że ojciec wpadł w manię fotografii amatorskiej. Zakupił miechowy fotoaparat firmy Voigtländer, składający się poręcznie w średniej wielkości mahoniową skrzynkę, ostatni krzyk techniki. Fotografie wykonywało się z rozkładanego statywu – zdjęcia „z ręki” nie dawały gwarancji dobrej jakości. Nieodzowna dla ambitnego portrecisty była też przystawka do zdjęć przy błysku magnezji. Słowem, fotoamator musiał się wówczas liczyć z nie lada ciężarem sprzętu, a przygotowania do zrobienia zdjęcia zabierały niemało czasu. Wkrótce tata urządził w łazience małe laboratorium fotograficzne dla reprodukcji zdjęć stykowych: kuwety, pęsety, suszarki i chemikalia, a później także powiększalnik. Towarzyszyło mi ono przez całe dzieciństwo mniej więcej do 1935 roku. Potem amatorską obróbkę zdjęć zastąpiła profesjonalna, a starego voigtländera – niemiecka leica. W czasie okupacji niemieckiej w Warszawie w 1941 roku udało się ją sprzedać i przeżyć za to pewien czas. Leica przetrwała zresztą bez uszczerbku nawet siedem miesięcy w magazynie Stalag XI A, Kriegsgefangenenlager Altengrabow bei Burg, Provinz Sachsen, i została zwrócona ojcu na wiosnę 1940 roku, kiedy wyleczył rannych i rozwiązano szpital jeniecki w związku z przesiedlaniem personelu do Generalnej Guberni. Jeszcze nas wtedy nie zaskoczyło, że leica nie została zaliczona w masę dobra „trofiejnego”.

Nie była to jednak tak bardzo żelazna niemiecka zasada, bo prywatny samochód rodziców, Vauxhall 1400, którym tata wyruszył na wojnę z 2. Gdyńskiego Batalionem Obrony Narodowej, stracił od razu 7 września 1939 roku na rynku w Chojnicach. Oficer Wehrmachtu wyjaśnił mu dobrodusznie:

– *Sie verstehen, Herr Doktor, daß brauchen Sie so ein Auto im Kriegsgefangenenlager kaum!**

Pierwsze lata małżeństwa minęły nie wiadomo kiedy. Kolejne lwowskie karnawały pozostawiły beztroskie ślady w pamięci.



Jeden z karnawałów: Czterech Panów i Buśka w srebrnej lamie.

* Sam pan rozumie, panie doktorze, że w obozie jenieckim auto nie będzie panu potrzebne! (niem.).

Po blisko pięciu latach asystowania profesorowi Bocheńskiemu 15 lipca 1929 roku Jerzy otrzymał od niego świadectwo specjalisty położnika i ginekologa operatora.



Tymczasem dziecko rosło...



Błede wspomnienia – Uraś z Zichą,
jego opiekunką, w bramie domu
przy ulicy Piekarskiej 59 we Lwowie
zimną 1928/1929.

Niebawem miałem się rozstać ze Lwowem na stałe i bywać tu tylko jako gość. Miały te wizyty ogromny urok. Czuję, że jestem kochany.

W 1929 roku rodzice zaczęli realizować nowy pomysł na życie.

SPIS RZECZY

Jerzy Krzyżanowski Żadna siła, żadna burza... 7

PROLOG	9
KILKA SŁÓW OD CÓRKI Dziesiątego Lutego Trzydzieści	11
ROZDZIAŁ 1 Jaremcze. Tam szum Prutu...	26
ROZDZIAŁ 2 Sześciu Kalikstów, Jerzy i Jadwiga	61
ROZDZIAŁ 3 1929. Pożegnanie ze Lwowem	80
ROZDZIAŁ 4 Gdyńskie lata młodości, urody i dostatku	103
ROZDZIAŁ 5 Dramatyczna emerytura dziadka Emila	156
ROZDZIAŁ 6 Wimmerowie. Z Kołomyi do Zakopanego	206
ROZDZIAŁ 7 Vauxhallem na wojnę	227
ROZDZIAŁ 8 1940–1944. Na Królewskiej, w Powstaniu i w Zalesiu	242
ROZDZIAŁ 9 1945. Powrót do Gdyni – co zastaliśmy	296
ROZDZIAŁ 10 Szalik w szkocką kratę i perski modlitewnik	313
ROZDZIAŁ 11 Szkoła Filmowa i zakonnice z Polskiej Wsi	330
ROZDZIAŁ 12 Z apteki Mikolascha do Krakowa	353
ROZDZIAŁ 13 Zakończenie	372

SPIS RZECZY

Magda Krzyżanowska-Mierzevska	
Kobiety naszego rodu	381
I	383
WPROWADZENIE Na ganku we Wrzeszczu	385
ROZDZIAŁ 1 Trzy siostry	395
ROZDZIAŁ 2 Wesołowscy	411
ROZDZIAŁ 3 W Komorowie	439
ROZDZIAŁ 4 Aleksander	456
ROZDZIAŁ 5 Małżeństwo Jasi	478
ROZDZIAŁ 6 Kobieta nowoczesna	501
ROZDZIAŁ 7 Leszek	529
ROZDZIAŁ 8 Okupacja	542
II	553
ROZDZIAŁ 9 W Wilnie	576
ROZDZIAŁ 10 Powstanie i Ostra Brama	588
ROZDZIAŁ 11 Po klęsce, nie pierwszej	608
ROZDZIAŁ 12 Na lewym brzegu Wisły nie ma już Warszawy	613
ROZDZIAŁ 13 Jeńcy wojenni: dwóch Kazików, ciotki i Tereska	621
ROZDZIAŁ 14 Na Jaśkówce	629
PODZIĘKOWANIA	778
PRZYPISY	779
TABLICE GENEALOGICZNE	784

Zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego autorów, poza tymi na stronach:
84 – Sławomir Kitowski, *Gdynia. Miasto z morza i marzeń*, Wydawnictwo Alter Ego, Gdynia 1997, dzięki uprzejmości autora;
86 (góra i dół) i 88 (góra) – ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni;
158 (góra) – Jerzy Janicki, *Krykiwały*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2004.

Redaktor prowadzący: Adam Pluszka
Redakcja: Elżbieta Novák
Korekta: Małgorzata Denys, Elżbieta Jaroszuk, Renata Kuk
Redakcja techniczna: Alek Radomski

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Pol
Fotografie wykorzystane na I stronie okładki oraz zdjęcia autorów na skrzydełku pochodzą z archiwum rodzinnego.
Projekt logo cyklu: Anna Pol

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: **manufaktura**
Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dzielowa S.A., Łódź

ISBN 978-83-7414-770-5

Chociaż dzisiaj życie toczy się tak szybko, na znanych ulicach powstają nowe budynki, centra handlowe rosną jak grzyby po deszczu, gazety tętnią newsami i nie wiadomo, do czego wychowywać dzieci urodzone jeszcze za komunizmu, które słuchają nas z ironią w tych rzadkich chwilach, kiedy wyłączą empetrójkę – przypominamy sobie powoli, jakby wszystko było jeszcze w zasięgu ręki, tamten świat: przedwojenni dziadkowie Krzyżanowscy, smakowite zupy gotowane przez Marysię, pomoc domową ze Stanisławowa, ulice Gdyni wyłożone granitową kostką, pod koniec lat sześćdziesiątych pokrywane asfaltem jedna po drugiej, dalekie echa dobiegające ze Lwowa i z Ostrej Bramy, na wpół zapomniane gdańskie pejzaże...

(fragment)

PATRONAT MEDIALNY



HISTMAG.ORG

ofeminin.pl

ŚWIAT ELIT
MAGAZYN POLITYCZNO-BIZNESOWY



wiedza i życie

PATRONAT HONOROWY



„Kobiety naszego rodu są dzielne” – mówiła małej Magdzie babcia Jasia. Tylko co to był ten „nasz ród”? Babcia Magda, która emanowała seksapilem i której nie poszczęściło się w małżeństwach z dwoma pięknymi oficerami. Jasia – wariacko odważna, prowodyrka szalonych przedsięwzięć, optymistycznie nastawiona do życia. Hala, odpowiedzialna i poważna, która – w przeciwieństwie do swoich siostr – nie pozwalała sobie na beztroskie romanse. Dziadek Jurek, który w 1929 roku zdecydował się porzucić Lwów i zamieszkać w budowanej z rozmachem Gdyni, przedwojenny *bon vivant*, znany położnik gdyński, o którym mówiło się, że „urodził połowę Gdyni”. Jego dowcipna i elegancka żona Jadwiga, zwana „piękną panią doktorową”, która wspaniale tańczyła mazura. Z czarno-białego zdjęcia poważnie patrzył na wnuczkę drugi dziadek, Aleksander. To generał „Wilk”, komendant Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej, dowódca operacji „Ostra Brama”. Także wielu innych, po których zostały imiona i pożółkłe fotografie. Kim byli? Gdzie mieszkali? O czym myśleli, patrząc w obiektyw?

Ojciec i córka z okrucichów wspomnień pieczołowicie odtwarzają historię dyskretnych stryjów i wciśbiskich ciotek, wariatek i profesorów, lekarek i inżynierów, awanturnic, pań domu i łączniczek. Barwne dzieje dwóch rodów – Krzyżanowskich wywodzących się z Wileńszczyzny, Krzyżanowskich ze Lwowa i ich potomków z Trójmiasta.



www.wab.com.pl

9 78-83-7414-770-5



9 788374 147705

cena 69,00 zł

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).